

W cztery lata po tych wydarzeniach szła przez Polskę dużym pasem skądś od północy czarna, ogromna burza. Grzmiało i huczało w przestworzu, pioruny były jeden po drugim — jakby niebo i ziemia i złe moce rozpętały żywioły wszelkie — deszcz lał, jak się to mówi: jakby z cebra.

W pochodzie swym burza zawadziła i o znajome nam z opowiadania wioski i o owe dwie chaty w polu, gdzie się cała nasza rozegrała historia. Wkońcu wcisnęło się wszystko — z za chmur błysło słońce — było to przed wieczorem. Ze wspomnianych chat wyszło może ośmioro ludzi i skierowało się w stronę przydrożnej rozłożystej lipy. Na lipie widniała umieszczona kapliczka. Podeszli ku niej i pokłękali. Staruszek może dziewięćdziesięcioletni oparty na ramieniu dorodnego chłopaka, dwie staruszki, ale znacznie młodsze, dalej młody jeszcze i krzepki mężczyzna o jednym tylko zdrowym oku, przy nim śliczna kobiecinka o drobnej wesołej twarzy, z małą dzieciną na ręce, a obok niej trzyletni chłopczyk i dwuletnia dziewczynka — wszyscy pograżyli się w modlitwie. Może dziękować Bogu i Matce Najświętszej za opiekę nad chatami i dobytkiem w czasie burzy, może prosili o dalsze błogosławieństwo i pomoc nieba dla siebie, a może jeszcze o coś innego.

Naraz można było słyszeć, jak ów mężczyzna jednooki, widać gospodarz owych chat, powiedział na głos: A jeszcze pomódlmy się za naszych dobrodziejów, niech im Bóg da zdrowie i szczęście w jak najdłuższe lata: Ojciec nasz... Zdrowaś Marjo... Wkońcu przeżegnali się nabożnie i powstali. Byli to żyjący jeszcze dziadziś, a właściwie już pradziadek, dwie matki wdowy i nasz znajomy Jasiek z młodą żoną Terenią i dwojgiem dzieci i dorosłym już parobkiem Antosiem.

Robili to stale codziennie. Dziś, czekali tylko, żeby burza przeszła, by obietnicę swoją doggonnej wdzięczności w modlitwie za tych zacnych ludzi, którzy ich w ich biedzie wspomogli, wypełnić.

Sami pracą i oszczędnością dorobili się znacznie, że im się niegorzej powodziło — a Antos znalazł sobie nawet, jak jego starszy brat Jasiek Terenię, bardzo ładną i uczciwą dziewczynę w pobliskiej wiosce, z którą, jeśli Bóg da doczekać szczęśliwie, obiecywali sobie, iż pobiorą się. Cała rodzina chętnie się na to zgodziła, bo rzeczywiście chłopak dobrze trafił. Widać przy biedzie, szczęście w miłości trzymało się tych prostych, ale uczciwych i żyjących po Bożemu rodzin. A to przy błogosławieństwie Bożem więcej warte, niż złoto i skarby.

KONIEC.

Ks. W. Wojton.

List z Estonji.

Estonja, Tallin, dnia 6-go maja 1934 r.

NIECH BĘDZIE POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Drogie i kochane Siostry!

Od pół roku zbieram się, by do Was napisać i jakoś nie mogłam, bo jak to w służbie, zawsze jakieś przeszkody, choroby, goście, pranie, prasowanie i t. d.

Teraz mamy śliczny miesiąc maj! A w maju jakoś jaśniej i mnie też rozjaśniło się tak, że i trochę czasu znalazłam i nareszcie piszę, bowiem chcę Wam pokazać, że nie zapomniałam o Was, że myślę o Was i modłę się.

Właśnie w tym miesiącu maju dobiega rok, jak wyjechałam tu do Estonji, miasta Tallinu. Wszystko tu mi się podoba, miasto Tallin, jak gniazdko ptasie. Szczególnie rynek; wszystko tu można dostać łatwo i piwskiej jakości, niema obawy, że mnie oszukają, bo ludzie są bardzo tu uczciwi; takie obfitości masła, prawdziwego, niemieszanego, śmietany — jednym słowem wszystko pierwszorządne.

Mimo to tęsknię za Wami, gdybym miała skrzydła, zaleciałabym tam do Was, na sodalicyjne nabożeństwo lub apostołę, lecz niestety, nie dano ludziom skrzydeł.

Wprawdzie i tu mamy kościołek katolicki, a teraz w maju śliczne nabożeństwa majowe, lecz bez kazań i tych ślicznych modlitw za Kościół katolicki,